

Andrzej Janczewski

**Wszystko
już zbladło,
spłowiało...**



Andrzej Janczewski

**WSZYSTKO JUŻ
ZBLAKŁO, SPŁOWIAŁO...**

© Copyright by
Andrzej Janczewski & e-bookowo

Projekt okładki:
e-bookowo
Zdjęcie na okładce:
sxc.hu
Korekta: Patrycja Żurek

ISBN 978-83-7859-386-7

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2014

Wewnątrz było już kilka osób. Pilnowało ich dwóch milicjantów w mundurach, siedzących przy drzwiach. Wiktor z dziewczyną usiedli w samym kącie, blisko szoferki.

– O co tu chodzi? – spytał dziewczynę półgłosem. Próbował to opanować, ale w jego pytaniu czaił się strach.

– Nie wiem, stałam tylko i patrzyłam. I wtedy ten...

– Cisza tam! – wrzasnął piskliwie jeden z milicjantów, chuchrowaty jakiś.

Zamilkli. Wiktor z boku spoglądał na dziewczynę. Też musiała być zdenerwowana, bo aż miała wypieki na twarzy. Niewysoka, ale dość ładna. Mogła mieć dwadzieścia lat. Chyba studentka – pomyślał. A w budzie są jeszcze cztery miejsca. Pewnie czekają, aż będzie komplet i wtedy gdzieś nas zawiozą. Tylko gdzie? I co dalej? Może pałowanie!

– Jak masz na imię – spytał szeptem.

– Teresa.

– Ja Wiktor. Powiedziałem im, że jesteś ze mną. Lepiej niech tak zostanie. Tylko sobie przechodziliśmy...

– Boję się, że szybko nas nie wypuszczą. Bo moją koleżankę też wczoraj...

Zamilkła, bo chuchrowaty milicjant spojrzął groźnie w ich stronę. Ten drugi udawał, że śpi, z czapką nasuniętą na oczy.

– Podaj mi swój adres, pewnie nas rozdziela, a może trzeba będzie kogoś zawiadomić – szepnął po dłuższej chwili Wiktor widząc, że chuchrowaty notuje coś pilnie w swojej raportówce.

– Mokotowska 4 mieszkania 22.

– Ja, Klonowa 12 mieszkania 8.

Chuchrowaty jakby na to czekał. Spojrzął na Wiktora jak bazyli szek i ryknął:

– Co ja mówiłem!?! Cisza miała być! Wylaż z tego kąta! Tu będziesz siedzieć! – pokazał mu miejsce przy sobie.

Wiktor z ociąganiem wstał i przeniósł się bliżej milicjantów. W suce zapanowała grobowa cisza. Teraz mógł się lepiej przyjrzeć Teresie. Siedziała ze wzrokiem wbitym w ziemię. Podoba mi się – pomyślał – i to nawet w tych okolicznościach. Krótkie włosy, ciemnoblond, szary, wełniany sweterek, kurtka i dżinsy. Nie wiadomo jak to się skończy, ale koniecznie muszę się jeszcze z nią spotkać. A tak w ogóle, to niesamowite – sytuacja fatalna, cholera wie, co jest grane, a ja myślę o babach. To znaczy o tej... Dobrze, że mam jej adres.

Spojrzała na niego, ale widząc, że patrzy, szybko spuściła wzrok. W tym momencie otworzyły się drzwi i do budy wepchnięto jeszcze dwie osoby.

– Zawieźcie ich i wracajcie – rozkazał jakiś cywil w skórzanej kurtce i trzasnął drzwiami.

Samochód ruszył i zaledwie po kilku minutach byli już na miejscu. Najpierw stanął, chyba przy jakiejś wartowni, a potem wtoczył się na wewnętrzny dziedziniec wielkiego budynku.

– Wychodzić! – rozkazał chuchrowaty.

Stanęli rozglądając się wokół. Chyba Mostowskich – pomyślał Wiktor.

Po chwili wyszedł jakiś mundurowy i razem z chuchrowatym zabrali ze sobą dwie kobiety. Reszta – już sami mężczyźni – czekali dalej w milczeniu, pilnowani przez zaspanego i kierowcę. Minęło co najmniej dwadzieścia minut, zanim ten sam milicjant wrócił i wprowadził do środka pozostałą grupę mężczyzn. W przejściu minęli się z chuchrowatym, który patrzył na nich jak na karaluchy. Gdy zniknęli mu z oczu za zakrętem korytarza, wrócił do samochodu i buda z powrotem ruszyła w miasto.

Wiktor doprowadzony został do niewielkiego, zasmrozonego papierosami pokoju. Za odrapanym, drewnianym

biurkiem siedział cywil o szarej, zmęczonej twarzy.

– Dowód osobisty – powiedział beznamiętnie, patrząc w okno. Miało to pewnie oznaczać żądanie okazania tego dokumentu.

– Mam tylko legitymację studencką – odpowiedział Wiktor, kładąc ją na stole.

Cywil wziął ją w dwa palce i otworzył z wyraźnym obrzydzeniem. Przyjrzał się fotografii, zbliżając do niej wzrok jak krótkowidz, a potem długo wpatrywał się w twarz chłopaka.

– Nazwisko? – spytał.

– Turewicz. Wiktor.

– Adres?

– Klonowa 12, mieszkania 8.

– Student znaczy się. Politechnika. To co robiliście pod uniwersytetem?

– Przechodziłem przypadkiem z dziewczyną, a tu jakiś obleś zaczął jej wymyślać od kurew.

– Taak? Bez powodu zaczął?

– Właśnie. Popchnął ją i kazał spierdalać. Przepraszam, ale właśnie tak się wyraził.

– No, no... niewychowany jakiś. I co było dalej?

Musiałem jakoś zareagować, ale zdążyłem tylko powiedzieć, że to moja dziewczyna, kiedy otoczyło nas kilku cywilów i siłą wpakowało do samochodu.

– A ja tu mam napisane, że były awantury, okrzyki, jakieś gestapo...

– Coo? To kłamstwo!

– Tak? Funkcjonariusz, który to pisał, jest kłamcą?

– Tak! To kłamstwo! Nie było najmniejszego powodu...

– Nie przyznajecie się. Szkoda.

– Albo jakaś pomyłka. Nikt mnie dotąd nie legitymował. Może to ktoś inny...

Mimo to nigdy specjalnie go nie lubiłam, bo wydawał mi się fałszywy. Ale moi rodzice go uwielbiali.

Skończyłam właśnie piętnaście lat, kiedy w trakcie takiego pikniku podszedł i powiedział, że chce mi coś pokazać na strychu. Zaintrygował mnie, więc poszłam, a ponieważ w ogrodzie było co najmniej trzydzieści osób, nikt nie zwrócił na to uwagi. Na strychu było gorąco i duszno. Stało tam trochę starych mebli i kanapa, nieco mniej zakurzona niż pozostałe graty. Kazał mi na niej usiąść, a sam wyciągnął skądś kilka zagranicznych pisemek. Powiedział, że jestem już dorosła, bo mam piętnaście lat i wolno mi robić to, co jest na tych zdjęciach. Chciałam uciec, ale okazało się, że drzwi na strych były już zamknięte. Złapał mnie, przewrócił na kanapę i ściągnął mi majtki. Krzyczałam, płakałam, ale nikt nic nie słyszał, bo jedno, jedyne okienko na strychu nie wychodziło na ogród, tylko na dość ruchliwą ulicę. No i zrobił to...

Potem zamknął mnie na tym strychu samą, bo powiedział, że muszę się uspokoić. Wyszedł i wrócił, nie wiem, chyba po pół godziny. Przyniósł mokry ręcznik, wytarł mi twarz i poprawił włosy. Zaczął mnie przepraszać, że chciał, żeby było przyjemnie, że teraz to naprawdę jestem dorosła i jeszcze będę mu wdzięczna. Potem powiedział, żebym nikomu nic nie mówiła, bo to już i tak niczego nie zmieni, a rodzice wiele mu zawdzięczają, i bardzo byliby na mnie źli, gdybym się poskarżyła.

Wiesz... Zawsze byłam trochę zamknięta w sobie i stało się tak, jak chciała ta świnia. Nic nikomu nie powiedziałam, choć nieraz świerzbził mnie język, jak ojciec czy matka rozpływali się nad dobrym wujkiem Józiem. Ale już nigdy potem nie pojechałam do Anina. Zawsze mówiłam, że się źle czuję, albo mam dużo lekcji i nie mogę. Patrz... Tyle razy się wymawiałam, a oni niczego się nie domyślali. Zabierali więc

tylko Marka, a ja zostawałam sama. Ale za każdym razem kiedy tam byli – dosłownie za każdym – miałam w oczach obraz tego spoconego bydlaka, przywalającego mnie swoim tłustym cielskiem. Zawsze chciało mi się rzygać na samo to wspomnienie i początkowo naprawdę rzygałam.

W szkole nie mogłam patrzeć na żadnego chłopaka, nie chodziłam na zabawy i prywatki. Nawet ubierałam się tak, żeby żadnemu nie wpadło nic do głowy. Z jednej strony matka była zadowolona, że ma taką grzeczną córeczkę, która zajmuje się nauką, a nie głupstwami, ale z drugiej strony, patrząc na moje koleżanki musiała dostrzegać jakąś różnicę. I wiedziałam, że to ją martwi. A ja odczuwałam złośliwą satysfakcję, że jeśli jest na tyle głupia, żeby niczego się nie domyślać i pod niebiosa wychwalać drogiego mecenasa – to niech cierpi.

Ale to... jeszcze nie wszystko.

Dwa lata później całą rodziną wyjechaliśmy na wczasy nad morze. Nawet nie wiedziałam, że był to ośrodek Ministerstwa Sprawiedliwości i że te wczasy załatwił czynny wujek Józef. I oczywiście, zjawił się tam ze swoją wyfiokowaną żoną i tłustym jak on sam synem Karolem. Całe dwa tygodnie miałam zepsute. Unikałam go jak ognia, wciąż koncentrowałam się na tym, co wymyślić, co zrobić, żeby nie widzieć tej wstrętnej mordy. Całe szczęście, że stoliki w stołówce były czteroosobowe i siedzieliśmy oddzielnie, bo chyba nie mogłabym niczego przelknąć. Zbliżał się koniec turnusu, kiedy mecenas zaproponował jakąś wieczorną imprezę na tarasie domu wypoczynkowego. Marek biegał gdzieś z innymi chłopakami, a ja wymówiłam się bólem głowy. Ale rodzice byli zachwycceni. Żeby nie było gadania, wzięłam od nich klucz do pokoju i położyłam się spać.

Ze snu wyrwał mnie jakiś przygniatający ciężar. Nie mo-

głama złapać tchu. Zupełnie oszołomiona nie potrafiłam się bronić. I ten wieprz... znowu...

Nie wiem, jak mu się to wszystko udało. Chyba musiał spać resztę towarzystwa, a sam się wymknął i... A ja głupia nie zamknęłam drzwi, żeby rodzice po imprezie mogli wrócić do pokoju.

Tym razem powiedziałam sobie: nie daruję ci, kanalio! Lecz zamiast od razu zgłosić się na milicję, albo przynajmniej powiedzieć rodzicom, zaczęłam obmyślać najokrutniejsze formy zemsty. Ale co mogłam zrobić? Choć nie byłam z siebie dumna, napisałam do jego żony kilka listów – podpisanych, nie żadnych tam anonimów – w których ujawniłam prawdziwe oblicze jej męża. Ale albo udało mu się je przejąć, albo żona je zignorowała... A może zrobiła mu tylko awanturę? Nie wiem. W każdym razie kontakty się urwały, choć jestem pewna, że rodzice dalej nie wiedzieli nic.

Potem widziałam go jeszcze tylko dwa razy. Na pogrzebie ojca i wtedy, w sądzie. To dlatego tak nie chciałam, żeby mnie bronił. Ale matka błagała – córeczko, nie mamy pieniędzy, musisz mieć adwokata. Brzydziłam się sobą, ale w końcu uległam.

Wtedy, po rozprawie – pamiętasz – nawet do niego nie podeszłam. Zresztą sam wiesz, jaka to była obrona i czy było za co dziękować. A matka prawie całowała go po rękach. To było okropne. I potem w domu miała do mnie pretensje. Patrz, umarła, nie podejrzewając niczego.

Kiedy Wiktor kończył opowieść Teresy, Marek siedział nieruchomo, ze spuszczoną, podpartą rękami głową. Zapadła długa cisza. Nic, tylko brzęczenie muchy i tykanie starego, ściennego zegara. Wreszcie wyprostował się i patrząc na wiszący na ścianie portret siostry powiedział:

Powiedział o tym Dorocie, a ona koniecznie chciała to zobaczyć. Umówili się na jutro.

Był letni, gorący dzień, Wiktor miał „wolne”, a Dorota wiedziała, że i tak na wiertarce majątku nie zrobi. Więc poszli za halę A, minęli galwanizernię i oczyszczalnię ścieków. Jeszcze sto metrów i bocznica kolejowa.

Rozejrzał się, czy nikt nie łązi w pobliżu. Spokój. Podeszli do torowiska.

– O, właśnie tu spałem przedwczoraj – wskazał na stojący obok wagon – chcesz wejść?

– Dobra, ale musisz mi pomóc, nie mogę sama tak wysoko...

Rzeczywiście, wagon nie miał stopni i dla drobnej dziewczyny wejście nie było zbyt komfortowe. Wiktor wskoczył do środka i wyciągnął rękę. Stała pod nim, usiłując oprzeć kolano o podłogę. Jej kombinezon rozchylił się nieco...

Pod spodem nie miała nic. Przez krótki moment widział z góry jej nagie, jędrne piersi.

Trochę go zatkało. Podobała mu się, ale dotąd traktował ją jak koleżankę – miłą i ładną – z którą tym przyjemniej gadało się na przerwie śniadaniowej. Nie umawiali się nigdzie po pracy. Nic właściwie o niej nie wiedział. Ale teraz... To co zobaczył, trwało chwilę, jedną chwilę, którą usiłował przedłużyć obrazem zapisanym w pamięci.

– No, Wiktor, na co czekasz?! Pomóż mi, do jasnej Anielki!

– Przepraszam, jakoś tak się... zamyśliłem.

Wciągnął ją do środka i rozsiedli się na wielkiej, drewnianej skrzyni w samym końcu wagonu. Panował tam półmrok rozświetlany przenikającymi przez szpary smugami słońca. I leżały jeszcze resztki legowiska, które dwa dni temu urządził sobie Wiktor.

– Fajnie – powiedziała – nikt się tu nie kręci?

– Przedwczoraj nie było żywego ducha.

– Mam nadzieję, że jesteś grzecznym chłopcem i nie zamierzasz tego wykorzystać! – spojrzała figlarnie.

Prawdę mówiąc, właśnie przed chwilą taki scenariusz zaświtał mu w głowie.

– Ależ nigdy, przenigdy bym tak nie pomyślał, gdybyś nie podsunęła mi tej...

– Oj Wiktoru, chyba nie skrzywdzisz biednej koleżanki!

– Biednej... No tak, ubrałaś się dość oszczędnie. Niechący to zauważyłem.

– Zauważyłam, że zauważyłeś – spoważniała, patrząc mu w oczy.

Zmieszał się trochę. Więc nie udało się ukryć wrażenia, jakie zrobił na nim ten widok.

– I nie oszczędnie, tylko lekko po prostu – dodała już z uśmiechem. Lato jest.

Siedzieli vis a vis opierając się plecami o przeciwległe ściany wagonu. Nie miał wątpliwości, że zaczęła się gra, najwspanialsza gra, jaka może toczyć się między kobietą a mężczyzną. Nagrodą może być wszystko, ale wystarczy jeden fałszywy ruch... To wiedział, bo już kiedyś popełnił ten błąd. Więc teraz nie wolno jej spłoszyć. Ale nie był doświadczonym graczem. Ba – był żółtodziobem, debiutantem. Mimo dziewiętnastu lat.

Z ledwo widocznym uśmiechem czekała, co będzie dalej. Wiedziała, że jest panią sytuacji. A on czuł, że nie wolno już zwlekać. A niech to... Dlaczego usiadł tak daleko!

– Coś masz na policzku – skłamał.

– Gdzie? – odruchowo wytarła go ręką.

– Jeszcze. Czekał.

Podsunał się blisko, jak najbliżej. I nagle przekroczył tą

magiczną barierę, kiedy włącza się jakaś kosmiczna grawitacja, która sprawia, że ciała nie mogą oderwać się już od siebie. Jego usta znalazły jej usta i poczuły ich smak. I trwali tak długo, bardzo długo, chyba wieczność.

A potem rozpiął jej kombinezon i zobaczył, że nie ma na sobie nic więcej. Była naga, zupełnie naga. I on – już po chwili – też.

Leżała na wznak z rozrzuconymi włosami, a on całował brodawki jej piersi. Zrobiły się duże i twarde.

I zapragnął wreszcie...

Ale... no nie... coś nie tak...

Pomogła mu. I w tym momencie, właśnie w tym, nie wytrzymał.

To była chwila. Cudowna i gorzka.

– Przepraszam – jęknął – za bardzo cię chciałem.

Spojrzała na niego z czułością.

– Ty jeszcze nigdy? – spytała – Tak?

Cisza.

Więc tak... – pomyślała.

– Zaczekaj – powiedziała łagodnie – za chwilę znów będziesz gotów.

Wysunęła się spod niego i zaraz po tym poczuł, że jej usta... że ich dotyk... tam... Przeszył go dreszcz. I odwzajemnił tę pieśczoć. Całą jej intymność ogarnął i wzrokiem, i dotykiem swoich ust. Wiedział, że teraz już będzie dobrze.

I było.

Bocznice odwiedziła jeszcze kilka razy. Nauczyła go tam wielu rzeczy. W końcu po co są praktyki. Miała talent dydaktyczny, a on był pilnym uczniem.

Nie unikali żadnych, nawet najbardziej drażliwych tematów. Ale zawsze, kiedy próbował dowiedzieć się czegoś z jej

– To co ty, biedaku, będziesz sam porabiał o tak wczesnej porze.

– Będę wcześniej chodził spać.

– Ja się na dziś wieczór umówiłem z Iwoną. Idziemy do fajnej knajpy w Gdyni. Na statku zacumowanym przy Skwerze Kościuszki. Podobno jest tam super. Jak chcesz, możesz iść z nami.

– Jeszcze nie wiem, zobaczymy.

Obudził go jakiś zimny strumień. Paulina stała nad nim z pełnym wody czepek kąpielowym i polewała go po brzuchu. Skoczył na równe nogi i porwał ją w pół, udając, że chce ją wrzucić do morza.

– Neeee! Ratunku! – piszczła, śmiejąc się w głos.

– Nie myślałem, że potrafisz być taką niegrzeczną dziewczynką – powiedział nieco zdyszany, stawiając ją na piasku.

– O, nie wiesz o mnie jeszcze wielu rzeczy.

Leszek opowiadał później, z jaką zazdrością obserwował tę scenę. Nie mógł sobie darować, że zasnął wczoraj tak lekkomyślnie i taka dziewczyna przeszła mu koło nosa. Nie uważał się za mniej interesującego chłopaka, więc mogło być tak, że to on teraz... Patrzył jak trzymając się za ręce wbiegają do morza i jak dzieciaki, wrzeszcząc wniebogłosy, ochlapują się nawzajem z impetem. Jak pieczołowicie Wiktor smaruje jej plecy olejkiem do opalania, a potem kładą się na ręczniku twarzami zwróceniu do siebie i coś szepczą, co chwilę wybuchając śmiechem. Właściwie to czuł się intruzem, który samotnie leży na swoim kocu i nie wie jak się zachować. Opalać się i udawać obojętność, jak ktoś obcy, przypadkowo leżący dwa metry dalej? Przyłączyć się? Przecież widział, że świat dla nich nie istnieje, że gdyby spróbował się odezwać, zakłóciłby tylko to coś, co dzieje się między nimi. A jednocześnie nie

chciał postąpić jak gbur, ostentacyjnie zabrać rzeczy i pójść sobie gdzieś w cholerę. Więc dopiero kiedy wreszcie nadeszła trzecia, z uczuciem ulgi podniósł się z koca i powiedział:

– No kochani, mnie to już kiszki grają marsza, więc nie wiem jak wy, ale ja idę coś zjeść.

– Chyba zostaniemy jeszcze trochę Paulinko? – odezwał się z nadzieją w głosie Wiktor.

– Oj tak, słońce jeszcze mocno grzeje.

– To na razie – powiedział Leszek zbierając rzeczy. Wiktor, koło dziewiątej będę na kempingu, więc gdybyś wieczorem chciał iść z nami, to wiesz...

– Dobra. Na razie, stary głodomorze.

Było już prawie całkiem pusto, gdy Wiktor i Paulina trzymając się za ręce poszli w stronę dzikiej plaży. Usiedli tuż przy brzegu na wyrzuconej przez morze kłodzie. Niewielkie fale delikatnie obmywały ich stopy. Powoli zbliżał się zmierzch. Nie mówili nic, ale to była dobra, kojąca duszę cisza. Ta cisza była jednak tylko w nim, bo Paulina wyprostowała się nagle i patrząc w dal, na zamglony horyzont szepnęła:

– Kocham cię, Wiktor.

Zawirowało mu przed oczami. Przez chwilę chyba unosił się w powietrzu.

A ona zwiesiła głowę i dodała drewnianym głosem:

– O Boże... Powiedziałam to.

– Powiedziałaś... Czemu tak... Czy to jakieś tabu?

– Nie, ale miłość to gra. Przegrywa ten, kto pierwszy powie kocham.

– A może ten, kto kocha mocniej? Bo chyba czujesz, musisz czuć, jak ja kocham ciebie. Najbardziej, najmocniej na świecie. Słyszysz? Kocham cię! Spójrz na mnie!

Ujął w dłonie jej twarz i nie mógł oderwać wzroku od wiel-

kich, pełnych blasku oczu zakochanej dziewczyny. Ich usta nieuchronnie zbliżały się do siebie, a te oczy wciąż oslepiały go jak wschodzące słońce. I w końcu zgasły pod powiekami.

Nie może być w życiu piękniejszej chwili – pomyślał, z nim przestał myśleć o czymkolwiek.

A potem długo jeszcze całował ją na dworcu w Oliwie.

– Powiedz tylko ten raz, już ostatni, że mnie kochasz – poprosiła.

– Kocham cię, kocham cię, kocham cię, kocham!

– Ja też, bardzo. Ale muszę już... Więc do jutra.

– A nie mógłbym...

– Nie, lepiej nie. Pa, kochany!

I znikła gdzieś w tłumie.

Poszedł na swój peron. Postanowił wysiąść w Sopocie, posiedzieć na moło, a potem pójść na kemping plażę. Na knajpę w towarzystwie Leszka i Iwony nie miał najmniejszej ochoty. I tak cały czas myślałby tylko o niej. O cudownej dziewczynie, która ma na imię Paulina.

Znów nie spał, kiedy wreszcie zjawił się Leszek. Wślizgnął się do namiotu cicho, jak mąż po ostro zakrapianej kolacji u kolegi z wojska.

– Która godzina? – spytał Wiktor.

– Nie śpisz jeszcze? Po pierwszej.

– Fajnie było?

– To zależy... Chyba muszę ci coś powiedzieć.

– To mów.

– Ale mnie znienawidzisz.

– Zgłupiałeś? Co się stało do cholery.

– Tam była Paulina.

– Gdzie?!